

Wigilia w tym roku dosyć jest chuda, co i dobrze, bo — choćby z konieczności — uduchowiona. Zawsze opowiadałem się przeciw Świętu Brzucha na rzecz Święta Ducha. Brzuch mamy całe życie, które to życie spędzamy przeważnie na zabiegach koło tegoż brzucha napelnienia. Duch od czasu do czasu tylko dochodzi do głosu, przytłoczony aktywnością swego partnera i sjamskiego brata, z którym skazany jest na doczesną wędrówkę aż po moment Wielkiego Rozwodu duszy z ciałem. Do tego zaś czasu wędrują obaj nierozłączni, jak Don Kichot z Sancho Pansą: duch jest oczywiście Don Kichotem, brzuch — Sancho Pansą. Święta zaś są uczta Don Kichota, który, jak wiadomo, bardziej wyobraźnią i ideą się karmi, niż chlebem i mięsem. Rubaszny i praktyczny jego sługa rad nie rad przychylić się musi Dnia tego osobliwego do obyczajów swego pana, choć interpretuje je i kamufluje na swój sposób, święcąc na przykład wieczór ów postny łakomym obżeraniem się rybą wszelaką, jaka mu w państwowych sklepach złowić się pozwala. Co prawda ryba też swój rozum posiada i korzystając z długiej linii naszego wybrzeża, złapać się ani rusz nie daje. Bardzo to pozytywnie oceniam w tym osobliwym świątecznym okresie: niechże ludziska zrozumieją, że świętą to przygoda ducha, to dni, kiedy Don Kichot znacznie więcej do powiedzenia mieć winien, niż przyziemny Sancho Pansa, który za to przez wszystkie inne dni roku swój triumf święci.

W ogóle myślę, że warto przypomnieć sobie stare rzymskie jeszcze ludu żądanie: *panem et circenses!* Kiedy więc z chlebem bywa gorzej, trzeba dla równowagi zwiększyć porcję igrzysk. Igrzyska zaś, tak jak ja je pojmuję, są natury duchowej a nie fizycznej, choć miewają swoje fizyczne czy namacalne preteksty. Nie mam na przykład pewności, czy alkoholizm, czyli wódko- i winożłopstwo nie jest po prostu rozpaczliwym miotaniem się natury ludzkiej, nie mogącej zaspokoić swej przyrodzonej skłonności do igrzysk, czyli przygód duchowych. W ten więc sposób byłby alkoholizm karmieniem duszy raczej niż ciała: oczywiście zarzekam się pokarmu tak obrzydliwie nieodpowiedniego, idąc w tym za przykazaniem Ojca mego i Przewodnika, doktora Władysława Marcinkowskiego, oby nigdy nie uległ pokusie. Ale zarzekając się tego rodzaju dla duszy pokarmów, tym łatwiej baczyczyć trzeba, aby dusza owa swoją porcję godziwych igrzysk we właściwym czasie otrzymywać mogła. Kiedyż zaś myśleć o tym, jak nie w ów Dzień Narodzenia, kiedy to, jak mówi koleda, „bydłęta kłękają”, one nawet duchowej strawy i duchowej przygody podają?

Ktoś powiedział, że religia to „opium dla ludu”, jeszcze jeden termin pozautylitarny dodając do „duchowych

igrzysk” czy owych „boskich alkoholi”, o których wiele pisywali poeci. „Opium dla ludu” to moim zdaniem termin wcale nie ubliżający, jeśli potraktować go jako symbol i przenosić: symbolizuje oto próbę osiągnięcia niezwykłości w zwyczajności, oderwania się od normalnej rzeczy kolei, wydarcie się z kręgu Sancho Pansy, aby w nierozważnym na pozór a jakże ugruntowanym wewnątrz zapale podążać za Don Kichotem i jego wiatracznymi igrzyskami. Don Kichot zawsze, od najmłodszych lat, porwał moją wyobraźnię, bo zawsze czułem, że rycerz z La Manchy na przekór wszystkim MA RACJĘ.

Widzę już, jak ktoś się gorszy, że ja tutaj religijną skłonność do wyjścia poza doczesność, poza doczesne prawa, formy i miary, porównuję do zapędów Don Kichota, który w sferze fantazji i urojenia się obracał. Zgorszenie to nie jest słuszne, bo ja w postaci Don Kichota widzę wielką, choć może mimowolną metaforę, metaforę uplastyczniającą wysiłek ludzkiego ducha, aby poznać wyższy wymiar naszej egzystencji, aby utrzymać swoją świadomość w kategoriach prawd moralnych ujmujących istotę rzeczy, aby wysiłkiem uczucia i wyobraźni sięgnąć w to, co na ziemi nie objęte i niewyobrażalne, a co przecieć też ziemię wciąż naokoło opływa i, choć na oko niewidzialne, o wewnętrznym sensie ludzkiej widzialności stanowi, aby, słowem, gdy kopyta wychudzonego Rosynanta namacalnie i prozaicznie stukają w twardą, wysuszoną hiszpańską ziemię, głowa rycerza płynęła poprzez chmury i prześwietlone słońcem różnokolorowe obłoki. Jeśli zaś nadal widzicie w tym heretazję, to weźcie pod uwagę, że niżej podpisany zajmuje w „Tygodniku Powszechnym” urząd etatowego heretyka. Obecna prześwietna Redakcja naszego organu bywa czasem bardziej katolicka niż sam papież i próbuje zapominać o tym niżej podpisanego urządzenie

Głową w ścianę

»Polska chata skąpa« czyli wigilia chuda

oraz o rozmyślnie heretyckim charakterze niniejszej rubryki, ale ja na to nie pozwalam, pieczołowicie pilnując niezależności jej charakteru. Cóż to bowiem za wiara bez herezji: herezje towarzyszą Kościołowi od lat dwóch tysięcy i nie zmogły go zgoła, nie da mu więc rady niniejszy Kacik Deizmu, który zakwita sobie przez lat wiele, niczym jemiola na dębie.

Ostatnie moje odchylenie (kto to napisał książkę „Moje odchylenia”?) zmierza w kierunku irracjonalizmu intuicjonizmu i „magii”. Jest to może chwilowe i niegroźne, ale faktem jest, że przestudiowałem ostatnio bratnią „Wieżę”, nasz rodzony „Znak” i sporo „Tygodników Powszechnych” poczułem się nagle zmroniony i w ogóle zadławiony nadmierną dawką realizmu i racjonalizmu. Widzę w tym momencie zakłopotane i przestraszone miny naszych Strażników Pieczęci, Księdza Andrzeja Bardeckiego i Stefana Wilkanowicza herbu Mała Główka. Kochani — wiem, co chcecie powiedzieć i wiem w ogóle wszystko (albo nic), ale pozwólcie mi, jako heretykowi obrotowemu, na małą wyprawę od Tomasza do Augustyna, od Maritaina do Bergsona, od rozumu do intuicji, od realizmu do „magii”, od racjonalności do tajemniczości i w ogóle. Niech się tam marksisty wysmiewiają ze „światopoglądu magicznego”, my nie musimy, jako że różne bywają

drogi duchowego Don Kichota; zanim dojrzyje do Wielkiego Rozwodu (duszy z ciałem) wiele nablikać się musi po ścieżkach, bezdrożach, ugorach i ciemnościach. Istnieją przecieć dla nas na tym i tamtym świecie przepastne tajemnice — to tylko marksiści wiedzą wszystko i nie mają wątpliwości.

Moja dewiacja irracjonalistyczna pięknie zbiega się z okresem Jasełek. W szopce mojej duszy zapaliły się światła i światełka, buchnęły śpiewy, zagrały tęcza kolory. Jest również w tej szopce Anioł, jest i Diabeł. Mój Anioł i mój Diabeł będą jednakże koncesją dla realistów, bo upersonifikowane są przez dwie muzyczne warszawskie postaci: Anioł to młody kompozytor Henryk Czyż, autor osobliwego musicalu „Białowłosa”, ku podziwieniu narodu w Operze Warszawskiej granego. Diabeł zaś, to mój przyjaciel (zawsze przyjaźniłem się z

diablami, uznając ich społeczną funkcję) Jerzy Waldorff, szatan drwiący i pyszny, często swą piekielność za pomocą diabelskiego wynalazku Polskiego Radia demonstrujący.

Otóż Czyż ów nieszczęsny, spragniony igrzysk i dnia codziennego rutyną znużony, postanowił sięgnąć poza naszą planetę, zaprosił Istotę Niewinną z gwiazdnych regionów, kazał jej przedwędować ziemskie czarność i zostawić po sobie dziwną świetlną smugę. Jak to zrobił? Tu właśnie cały sekret specyfiki zjawiska: zrobił to naiwnie. Sam ułożył wszystko, sam napisał muzykę i tekst, sam wyreżyserował spektakl, obmyślił dekoracje, światła, efekty, sam zadyrgował. Był to szczytny akt: akt Don Kichota. Czy Don Kichot robi wszystko dobrze? Oczywiście, że nie, bo nie byłby wtedy Don Kichotem: często wpada w błoto, zlatuje z konia, umizga się, miast do prawdziwej Dulcinei, do pucołowatej folwarcznej dziewczki. Poności porażki — to specjalność Don Kichota — ale właśnie przez swe naiwne podejmowane, nierealne wysiłki chudy Rycerz MA RACJĘ. Henryk Czyż podjął trud i gest Don Kichota, i poprzez cykl porażek — wygrał. Jego niedoskonała, amatorska czy improwizowana wizja, odwagą i naiwnością zamysłu porwała trzystu niemal osobowo zespół, potwała spragnioną Don Kichockich igrzysk warszawską młodzież. Sala wyprzedana na dwa miesiące naprzód — naiwny gest zwyciężył przez to właśnie, że jest naiwny, że „amatorska” wizja weszła na „zawodową” scenę. Ten osobliwy fakt poruszył mnie — choć mój głębiem przecieć z lubością wylizywać długi szereg niedostatków przedstawienia. Tak właśnie zrobił Waldorff — Diabeł Nieczuły.

Waldorff-Beckmesser zarzyna biedną „Białowłosa” jak Król Herod niemowlęta. Powiada, że wszystkie elementy są w niej zle — choć w tym sa-

mym zdaniu wylizca szereg dobrych. Opisuje, jakby to ją przyciął, przystrzygił, ubrał, wytresował, oświetlił, oświecił, przerobił, i tak dalej, i że wtedy byłaby jak zagraniczna. Mówi że trzeba to zrobić życzliwie, ale aż się zachłystuje z radości, że może zganić. Taki to Polski Diabeł — szyderca i niewyżyty stwórca. A mnie już na starość diabelstwo odchodzi. Białowłosa wruszyła mnie właśnie, bo ułomna, bo niedoskonała. Nie miałbym serca obcinać jej włosów — ani Czyżowi „przycinać nosa”. Bo zaimponował mi irracjonalnym gestem Don Kichota, tak rzadkim w naszym przyziemnym świecie.

Zegnajcie Aniele, zegnajcie Diabie. Skończyliśmy jasełkowe przedstawienie, pora schronić się w nie samotną samotność Nocy Wigilijnej, drugiej mojej warszawskiej willi.

Siedzę więc w mojej stołecznej wleży (jako że Syreni Gród podniebne pięcie mi ofiarowało piętro) i obserwuję złocisto świecące okna wielkich, oszklonych bloków wokół, a za szybami wszędzie i wszędzie — różnokolorowe choinki. Wszystko to razem, choć przestrzennie i powietrznie w ciemnościach nocy rozplynięte, wydaje mi się jakoś w sobie zjednoczone i zamknięte ścianami POLSKIEJ CHATY SKAPEJ.

Wszyscyśmy oszaleli i zwariowali tą Polską i tak już pewno trwać będzie do śmierci. A na szerokim świecie całkiem już inaczej dzieje się rzeczyna i kto wie, czy my za ostatnich Mohikanów patriotyzmu narodowego się nie zostaniemy? Dziwy się dzieją i cuda, kapitalizm staje się internacjonalny a socjalizm — autarkiczny. Można bogactwo tego świata chętnie prawić o solidarnościach ponadnarodowych, o integracjach, o „Europach ojczyzn”. A my? My mamy swoje miejsce duchowe i miejsce materialne, które z trudem nie lada przez wojny i okupację przeprowadziliśmy, toteż nie palimy się ani do wyzywania się go, ani do światoburczych „reform psychicznych”. Miliony Polaków są poza krajem, ale w Noc Wigilijną wszystkie myśli i życzenia płyną pod dach „polskiej chaty skąpej”. „Czyli to będzie w Sofii, czy też w Waszyngtonie...” Więc może to jest właśnie ten nowoczesny polski Uniwersalizm? A może to jest właśnie przestarzały polski Partykularizm? Wszystko jedno, nie chodzi o nazwę. Grunt, że jest, że żyje, że jest wartością duchową, taką nieodzowną, dla naszego pokolenia przynajmniej, Przygodą Duchową. Czy są to zatem igrzyska, czy chleb? Chyba jedno i drugie. A przy takim chlebie Willa wcale nie okazuje się chuda — jest to tylko po prostu marzycielska Willa Don Kichota, nie zaś rubasznie żarłoczna Willa Sancho Pansy. Tej pierwszej więc, a nie tej drugiej Wam i sobie życząc.

KISIEŁ



Rys. STEFAN PAPP